ROK III. Nr. 19 (119) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 10 maja 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



TRZY SERCA W TAKCIE RAZ — DWA — TRZY (fot. Metro).



Widok ogólny obserwatorjum warszawskiego. Na pierwszym planie prof. M. Kamieński z małżonką.

J. SAWICZEWSKI.

Świątynie Uranji Polskiej

W chwili, gdy Mikołaj Kopernik zamykał oczy — regularne obserwacje nieba prawie nie istniały w Europie. Dopiero potężniejąca w tym okresie żegluga domagać się poczyna od astronomji coraz ściślejszych danych, i tym sposobem, na drodze rozważań raczej utylitarnych, powstają pierwsze stałe w Europie obserwatorja (Paryż, Greenwich, Kopenhaga). Zdala od tego ruchu stoi Rzeczpospolita. Wieki więc XVI i XVII, odznaczające się na Zachodzie wspaniałym ruchem umysłowym, u nas nic prawie naukom ścisłym nie dały. W Akademji Krakowskiej panuje system geocetryczny i kwitnie astrologja. Oczywiście, komentowanie zwietrzałej literatury średniowiecznej zajmowało poczesne miejsce.

Wiek XVII zaznacza się osobą ks. Jana Brzoskiego (Brzożka), któremu zawdzięczamy materjały do prac nad Kopernikiem i zgromadzenie dzieł przyrodniczych, wówczas zakazanych. Usiłował też on nakłonić Stolicę Apostolską do przyjaznego względem dzieł Kopernika stanowiska, bez skutku.

Z przykrością, lecz w imię prawdy, nie możemy sobie przywłaszczać Jana Heweljusza, astronoma gdańskiego, poważnego badacza, będącego w stałym kontakcie z ówczesną „uczoną Europą". Dużo mu zawdzięczają badania nad księżycem.

Zato niewątpliwie Polakiem był Stanisław Lubieniecki, wygnany z kraju za arjanizm. W swem podstawowem dziele o kometach skutecznie obala przesądy, związane z temi ciałami.

Najniższy upadek przypada na czasy saskie, lecz jest również sygnałem odrodzenia. W r. 1753 Elżbieta z Ogińskich Puzynina, kasztelanową mścisławska, funduje w Wilnie pierwsze w Polsce stałe obserwatorjum, zaopatrzone w dobre na epokę narzędzia, a kierownictwo powierza wytrawnej dłoni ks. Poczobuta, który na tej placówce niemałe dla nauki położył zasługi. Od r. 1807 obserwatorjum wileńskie przeszło pod kierunek J. Śniadeckiego.

Nie możemy przemilczeć Poznania, zaopatrzonego około r. 1770 w dobre narzędzia astronomiczne. Kasata zakonu rozbiła tę placówkę, a sprzęt jej został rozproszony.

W Warszawie „król Staś", interesujący się naukami, organizuje w Zamku placówkę prywatną, zbrojną w małe lunety angielskie, a obserwacje astronomiczne i meteorologiczne powierza ks. Bystrzyckiemu (pierwszy i ostatni nasz „astronom królewski"). Z prac jego dochował się szereg wykresów zaćmień i cenne obserwacje meteorologiczne z lat 1779—1799. Wykresy zaćmień, sporządzone raczej na rozrywkę króla, głębszego znaczenia nie mają. Wyjazd króla na wygnanie położył kres tym próbom. I projektowana budowa obserwatorjum na Ujazdowie stała się ciałem dopiero po rozbiorach.

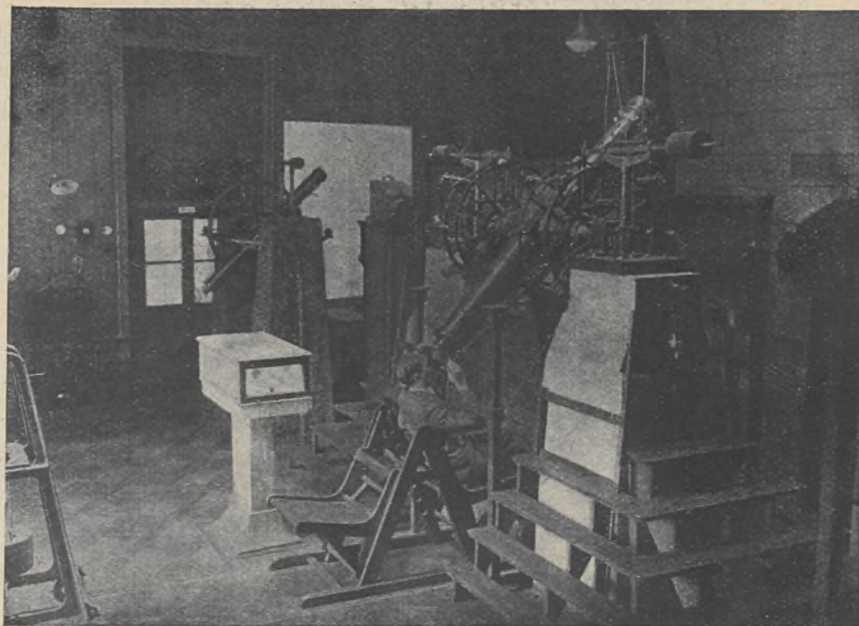
Pierwszym inicjatorem powstania obserwatorjum w Krakowie był ks. Popiołek, lecz wzrosło ono właściwie pod ręką Jana Śniadeckiego. Prace naukowe rozpoczęto tam w r. 1791. Narzędzia pochodziły z zakupu w Anglji, częściowo ze zlikwidowanego zakładu Jezuitów w Poznaniu i z daru króla. Gmach wzniesiono na terenie ogrodu botanicznego, ku wielkiej szkodzie astronomji (dymy z cieplarń). To „nieszczęsne małżeństwo Nieba i Ziemi" miało później w Warszawie tak niefortunne znaleźć naśladownictwo.

Do r. 1803 pracowano tu pod kierunkiem J. Śniadeckiego, który m. in. przyczynił się do znalezienia „zagubionej" planetki Ceres i do odkrycia (niezależnie od Olbersa) drugiej — Pallas.

Kongres wiedeński, ustalający na 100 lat podział kraju, zastał normalne obserwatorja w Wilnie i Krakowie. W Wilnie zdolny następca Śniadeckiego, Sławiński, modernizuje zakład, sprowadza reflektor i kopułę. Likwidacja Uniwersytetu Wileńskiego oszczędziła Obserwatorjum. Cios śmiertelny zadał mu dopiero w r. 1876 pożar, po którym oca-



Dyrektor Obserwatorjum Warszawskiego, prof. M. Kamieński, przy pracy.



Obserwacje na kole południkowem Obserwatorjum Warszawskiego.

lone książki i narzędzia przeniesiono głównie do Pułkowa.

Obserwatorjum krakowskiem pod władzą Austrji kierowali najpierw: Littron, Łęski i Weisse. Ten ostatni poczynił pewne inwestycje i w granicach środków robił systematyczne obserwacje, nie pomijając meteorologji i seismologji. W latach 1862—1902 kieruje placówką prof. Fr. Karliński, człowiek wielkiej pracy i zasługi. Jego następca, M. P. Rudzki, domagał się już przeniesienia zakładu za miasto.

Warszawa dopiero w r. 1825 otrzymała obserwatorjum, dzięki staraniom prof. Fr. Armińskiego, kóry osobiście wymógł na ces. Aleksandrze I założenie dostrzegalni dla powstającego uniwersytetu. Niezbyt dobrze sytuowane, lecz dobrze i hojnie, na epokę ówczesną, wyposażone, było wtedy stołeczne obserwatorjum jednem z pierwszych w Europie i stawiało sobie rozległe zadania. Lecz wielkie trudności zewnętrzne pochłonęły czas i energję Armińskiego, zaś za następcy jego, Baranowskiego, meteorologja trzymała prym. Za pierwszego rosyjskiego dyrektora, Wostokowa, zasłużył się ogromnie sprowadzony z Krakowa dr. J. Kowalczyk, który tu dwudziestoletnim wysiłkiem stworzył katalog gwiazd, największą dotąd u nas pracę obserwacyjną.

Rządy następcy Wostokowa, Krasnowa, głośnego z prac teoretycznych, niczem się u nas nie zaznaczyły; tak samo wypada sąd nasz o ostatnim dyrektorze zaborczym, S. Czornym.

Z nowszych placówek wymienić należy dwa mniejsze obserwatorja: we Lwowie (Uniwersytet, Politechnika) i jedno w Warszawie (Politechnika, prof. F. Kępiński).

Polska zastała w r. 1919 swe obserwatorja w zaniedbaniu; dla władz zaborczych nie miały wszak one znaczenia.

Zato odrodzone zostało pod kierunkiem prof. Wł. Dziewulskiego obserwatorjum w Wilnie. Nowy refraktor i szukacz komet oraz niezłe warunki zewnętrzne czynią z Wilna jeden z lepiej wyposażonych u nas zakładów.

Powstała też (z darów i z likwidacji obserwatorjów prywatnych) dostrzegalnia Uniwersytetu Poznańskiego owoc energji ś. p. prof. B Zaleskiego, dziś, pod sprężystym kierunkiem prof. J. Witkowskiego.

Obserwatorjum krakowskie, pod kierunkiem znakomitego uczonego prof. T. Banachiewicza, specjalizuje się w fotometrji gwiazd, a energja dyrektora doprowadziła m. in. do zdobycia dwu lunet, o średnicy 20 cm.; prace teoretyczne prof. T. Banachiewicza cieszą się zasłużonym rozgłosem pośród uczonych całego świata.

Prowizoryczne stacje w Beskidach (na Łysinie i Oklejnie) podlegają Narodowemu Instytutowi Astronomicznemu.

Obserwatorjum warszawskie, znajdujące się pod energicznem kierownictwem znanego uczonego, prof. M. Kamieńskiego, kładzie nacisk zarówno na prace obserwacyjne, jako też na teoretyczne, nie zaniedbując nadto popularyzacji astronomji wśród szerokich warstw społeczeństwa. Nabyte ostatnio narzędzia astrofotograficzne umożliwiły rozpoczęcie systematycznych prac z dziedziny astrofizyki, dotąd u nas nieuprawianej; przybywający w kwietniu r. b. 8-calowy refraktor Grubb'a umożliwi systematyczne obserwacje małych planet, komet i gwiazd podwójnych.

W dziedzinie teoretycznej obserwatorjum warszawskie chlubnie zaznacza się badaniami prof. M. Kamieńskiego nad biegiem komety okresowej Wolfa I. Badania te odznaczają się wielką, przynajmniej 10 razy większą, precyzją, niż dotąd spotykana; ponadto wykrył on, iż kometa ta ulega w swym biegu systematycznemu opóźnieniu — fakt, nie zauważony dotąd dla żadnej innej komety. Obserwatorjum warszawskie służy również codziennym potrzebom społeczeństwa, kierując zegarami kolejowemi Polski i nadając dwa razy na dobę (bez wyłączenia niedziele i świąt) dokładny czas.

W każdym razie nie zmieniliśmy dotąd faktu, że narzędzia nasze są zbyt małe, albo sfatygowane. Warunki pracy nader uciążliwe, personel nieliczny i źle uposażony.

Obserwatorja warszawskie i krakowskie położone są w mieście, stąd dym, kurz, wstrząsy, hałas, światła. O wielkiej precyzji pomiarów niema mowy; niebo zawoalowane łuną, nie pozwala na prace fotograficzne. Przeniesienie zakładów za miasto jest koniecznością.

Ideałem byłoby zbudowanie Narodowego Instytutu Astronomicznego w odpowiedniej okolicy. Apel do społeczeństwa, rzucony w r. 1923, przebrzmiał prawie bez echa; konjunkturę inflacyjną, gdy za „kolekcję zer" poczynić można było wielkie inwestycje, biurokracja przegapiła, a społeczeństwo przehulało.

ZYGMUNT KAWECKI.

Wyobraź pan sobie...

Zauważyliście chyba, że ludzie, opowiadający nam jakąś historję, albo inną bujdę— używają w toku opowiadania pewnych pauz, pewnych — żeby tak rzec — prysiudów, i dopiero po nich, jakgdyby po przygotowaniu ataku, wyrzucają na nas wielką Bertę swojej sensacji.

Jeżeli opowiadaczami są ludzie przyzwoici i solidni — to po pauzie — i nabraniu oddechu, mówią tak:

— No... i w tem miejscu, mój drogi, wyobraź sobie... co się dzieje... Ten idjota, zamiast... i tede...

Jeżeli opowiadaczami są ludzie grymaśni i nerwowi, trzepią tak:

— I w takiej chwili — proszę ciebie — psiakrew... ta cholera, zamiast... i tede...

Jeżeli opowiadaczami są ludzie prości i prostozmostowscy, walą tak:

— O rany! Masz pan pojęcie... co to była za stypa!... ten frajer, zamiast... i tede...

Jeżeli opowiadaczami są ludzie nieprzyzwoici, proponują:

— I *wystaw* pani sobie... że ten pętak, zamiast... i tede...

W każdym z tych wypadków apelują ludzie do naszej wyobraźni.

A zatem, wyobraźnia to *niejako* nasz wewnętrzny teatr, w którym trzeba odpowiednio ustawić kulisy, aby przedstawienie wypadło jaknajefektowniej.

I wyobrażenie moje—przypuszczenie moje, że coś mi nieznanego może tak lub tak wyglądać—lub tak a tak odbyć się — jest tak silne, że stanowi w duszy niejako kliszę, której następna klisza nie strawi chemicznie tak łatwo, o ile nie będzie od niej silniejsza.

Ileż to razy mówimy sobie, zobaczywszy nareszcie to *coś*, tak długo oczekiwane:

— O la la! Całkiem inaczej wyobrażałem to sobie.

Ale teraz chciałbym porozumieć się, czy nie podzielilibyście moich przekonań w sprawie wyobraźni wyższego, żeby tak powiedzieć, rzędu — to jest, w sprawie wyobraźni artystycznej. Czytasz książkę. Postacie, które cię w niej zajmują i porywają pomimo twej woli i świadomości — rysują się, malują — i rzeźbią w twojej wyobraźni.

Im dzieło było wyższe, czystsze i lepsze— tem rączej niosła się wyobraźnia i tem silniejszą swoją własnością wewnętrzną jest przeczucie wizyjne — albo nawet *wizje* — postaci, które ci podał autor czy poeta.

W ten sposób powstaje w tobie, pozornie nieuświadomiona, galerja portretów, galerja, zdająca się być raczej zbiorowiskiem mgieł, niż konturów i ekspresyj.

Masz więc w swojej duszy swojego specjalnego Fausta, swojego Mefista, swojego Zagłobę, swojego Kmicica, Bohuna, Basię, Ewę Pobratymską, Pochronia, Czarusia i wszystkie postacie eposów i poematów. Naraz powiadają ci:

— Zobaczysz na scenie *Pana Wołodyjowskiego.*

Albo:

— Zobaczysz w kinie *Pana Tadeusza.*

I co się pokazuje? Oto, że specjalistą od bicia w łeb twojej wyobraźni, pałką realizatorską — jest w pierwszej linji — kino.

Po świętym i wygrzanym w duszy obrazie bohatera, przesuwa ci się jakaś katastrofa realizatorska i który to fakt intymny trawi jako tako tylko przez pietyzm dla tematu, postaci alizatorska, który to fakt intymną trawi jako tak, tylko przez pietyzm dla tematu, postaci i dzieła autora lub poety. Ale wolałbyś był tego nie widzieć, choć, prawdę rzekłszy, szkoda, poniesiona przez twoją wyobraźnię, jest tylko chwilowa. *Prawem* twego pierwszego o tych postaciach wyobrażenia—powrócisz wkrótce do pierwszej twojej własnej kliszy. Dlatego dla mnie i dla wielu zapewne, realizatorzy arcydzieł, mający w naszem sercu i wyobraźni dobre prawo obywatelstwa, są często... tylko poczciwymi psujcami tego, cośmy sami w sobie, bez niczyjej pomocy, wyhodowali.

Co więcej, nie znoszę książek, w których rysownicy i ilustratorzy uprzytamniają mi postacie bohaterów. Ja zawsze tych bohaterów widziałem inaczej, niż rysownik. Książki wolę bez rycin, a kino i teatr wolę z postaciami, których jeszcze we mnie nie było, ani nawet w przypuszczeniu.

Które rzeczy możemy sobie przedstawiać, chociaż z pewnym strachem? Urodzenia naszego nie możemy sobie imaginować, bo *phantasia retro non agit* — a zresztą nie byłoby to taktownie, ale wszystkie inne wybitne zdarzenia życiowe możemy sobie jako tako koncypować. I tak — z pewnego rodzaju gęsią skórką przedstawiać sobie może młode dziewczę noc po ślubie. Z pewnego rodzaju urazą i żalem do wszystkich i wszystkiego unikami myślenia o własnem umieraniu i nie lubimy wyobrażać sobie swego trupka w jakiejkolwiekbądź sytuacji lub alteracji.

Bardzo starannie przepędzamy z naszego umysłu obrazek licytacji naszych mebli na rzecz Skarbu Państwa, za podatki. Jak tylko podobna myśl zacznie straszyć po naszej głowie, wychodzimy w te pędy z domu, łazimy po mieście, a potem wracamy zmęczeni do domu i rzucamy się na łoże, nie mogąc usnąć.

Rekapitulujmy się: a) urodzenia własnego nie wyobrażamy sobie, bo nie wypada; b) ślubu własnego nie lubimy imaginować, bo to przypomina koszty i zapowiada rozwód; c) śmierci własnej nie wyobrażamy sobie, bo jesteśmy pewni, że żyć będziemy wiecznie, chyba że się przeziębimy; d) wyobrażać sobie raczymy tylko rzeczy intymne i przyjemne, z życia naszego prywatnego, a z literatury tylko rzeczy, leżące w naszym horyzoncie politycznym. Burżuj nie wyobraża sobie porządku anarchistycznego, a anarchista nie chce widzieć się prezydentem lub królem — każdy karmi się wyobrażeniami i fantazjami, jakie mu preparuje niezawodny kuchmistrz, *egoizm* — i dlatego *teatrum internum* każdego człowieka zawiera spiżarnię najdziwniejszych specifików.



Jeżeli już doszło do tego, abym ja, jako literat, odpowiedział szczerze, jaki cymes fantastyczny zaludnia moją główinę literacką, odpowiedziałbym, że ulubieniem mojem jest myślenie i wyobrażanie sobie takiej zaliczki od teatru lub redakcji, abym mógł zupełnie przestać pisać!

— W takim razie na co ta zaliczka?

— Na zachętę do myślenia o wieczności.

Powietrze przezroczystość, nagość i... majonez

„Où commence l'hygiène e'en va le plaisir"— tam, gdzie się rozpoczyna higjena, znika przyjemność (radość życia!) — twierdzi przysłowie francuskie. Na szczęście twierdzenie to nie jest zgodne z prawdą. Dzisiejsza moda kobieca połączyła właśnie higjenę z przyjemnością.

Modę stwarzają artyści i krawcy, higjenę — lekarze, profesorzy, nie zawsze mający pojęcie o modzie. Moda też nie zwracała absolutnie uwagi na nich. Lekarze prowadzili dziesiątki lat walkę z gorsetem, występowali przeciw niemu, błagali, grozili, moda szła swoją drogą, obojętna na ich przepisy. Aż pewnego pięknego dnia — choć nie niespodzianie — zachciało się modzie skasować gorset. Zniknął gorset, a razem z nim „choroba, spowodowana przez modę": blednica. Blednica, do niedawna tak nieodzownie łączyła się z pojęciem o młodej pannie, jak niedawno jeszcze wąsik w stosunku do młodzieńca. Choroby tej obecnie prawie że się nie spotyka!

Lekarze tryumfują: czyż nie przepowiadali? A moda, upodobawszy sobie higjenę, nietylko usuwa to, co jest szkodliwe, lecz przykłada się do poprawy stanu zdrowia... Pozwoliła np. skórze oddychać! Skóra, to organ nader ważny, również ważny zmysł, jak oko, tak ważny, jak płuca, skóra bowiem jest również organem oddechu — o czem do niedawna za mało się mówiło — jak nerka organem przemiany materji. A moda tak po macoszemu obchodziła się z tą, tak ważną częścią ciała! Hamowała funkcje! Nie mówiąc o higjenistach, jaki artysta lub krawiec, wpadłby kiedykolwiek na myśl, ażeby człowiek, dla dodania sobie szyku i elegancji, zawiązywał sobie oczy, lub zaklejał płuca?! Lecz na biednej skórze gwałtownie robiono właśnie takie eksperymenty: zakrywano ją, obwiązywano, zatykano!

Dlatego też wyzwolenie przyszło takie kompletne i stało się tryumfem higjeny. Emancypacja mody jest tak celowa, że gdyby obradował nad tem kongres przyrodoznawców, nie uczyniłby tego lepiej. Obecnie skóra używa zupełnej swobody w miejscach, gdzie najintensywniej dla organizmu pracuje, gdzie są umieszczone najliczniejsze gruczoły, wydzielające pot. Z głowy kobiecej zniknęła dawna (i jakże niedawna!) wysoka fryzura, podkładki. Włosy się od szeregu lat ścina. Szyja, łopatki, ramiona, są zupełnie odsłonięte, nogi, w krótkich spódnicach — choć ostatnio noszone są również i dłuższe — i pajęczych pończochach. W ten sposób nogi są ledwo okryte, prawie że nagie, stopy zaś są tylko zakryte na pięcie i w palcach, obuwie bowiem bywa często ażurowe, z wycięciami i t. p.

To, co z ciała musi być ochraniane, niech będzie zakryte, ale możliwie cienkim, porowatym materjałem. Kombinacja koszuli z majteczkami w jednej sztuce usuwa niebezpieczeństwo noszenia podwójnego materjału, hamującego dostęp powietrza! Więc precz z podszewką! modo, o zbawcza!...

Wówczas, gdy panowie, nawet podczas upalnego lata, dźwigają na sobie 5—6 kilogramów ubrania, t. j. około 10 proc. swej wagi, panie mają na sobie rzeczy, nie ważące więcej, jak pół kilograma, czyli mniej więcej tyle, co „niejeden pieszczony... — (przepraszam!) — piesek, dźwigający na sobie" w szerści nie więcej, jak 1 proc. swej wagi.

W ten to sposób moda ulżyła, oswobodziła skórę. Skóra może więc bez przeszkód wypełniać wszystkie niezbędne funkcje, tembardziej, że się jej w tem dopomaga, podniecając do pracy ciągłym dopływem powietrza i słońca. Tam, gdzie dociera słońce, zbędny jest lekarz „dove viene il sole, non viene il medico".

Minęły te czasy, tak przecież niedawne jeszcze, gdy panie po balu miewały... katar, bo miały na sobie wyciętą suknię. Dziś panie są uodpornione przeciw zaziębianiu się, jak marynarze, a podczas jazdy koleją nie panie obecnie drżą przed „przeciągiem".

Panie o wiele solidniej się zahartowały, chodząc z obnażonemi ramionami, gołą szyją i prawie że nie osłoniętemi nogami, niż dawniej, przy pomocy przyjętych ogólnie wówczas zimnych nacierań, stosowanych przez kilka minut codziennie.

A w końcu — poco owijać w bawełnę — faktem jest, że Ludwik XIV, podczas całego swego panowania ani razu się nie kąpał! Dzisiejsza moda wymaga większej czystości. Podlotek, myjący szyję jedynie w niedzielę i środę, jest anachronizmem. Bo i jak?

Przesadą w tym kierunku będzie, jeśli moda i medycyna wspólnie nakażą: „Kąp się np. w... majonezie!". Medycyna wszak nieraz nam każe brać do ust takie rzeczy, których dobrowolnie nawet do ręki byśmy nie wzięli, byłoby więc sprawiedliwie nawet, gdyby w drodze rewanżu kazano nam się myć w czemś prawdziwie... smacznem. Przy przygotowywaniu takiego zatem upiększającego... majonezu nie kładzie się głównego nacisku na części składowe — one są identycznie takie same, jak w prawdziwym majonezie—najważniejszym warunkiem jest sumienne przestrzeganie wszystkich przepisów o myciu. Bierze się! nie! to jest recepta. „Należy wziąć czystej oliwy, wlewa się jej sporo na dłoń i dzieli porówno na obie dłonie. Następnie dodaje się do tego tyle żółtka, ile na końcu środkowego palca i wciera się razem w skórę. Z tego wytwarza się emulsja, która naprzód jest biało-żółta, a później staje się mniej lub więcej ciemną od brudu, w zależności od tego, ile „tego" było na skórze.

Recepta ta nie jest przepisem z tygodnika mód, lecz z pisma medycznego i stanowi jeszcze jeden dowód, że medycyna i moda mają bardzo wiele wspólnego. Środek ten działa łagodząco i jest... apetyczny, kto go używa, niema „opierzchłych rąk", a cerę ma się piękną bez szminki i pudru, to też każda kobieta. spróbowawszy, staje się namiętną zwolenniczką tego „majonezu".

Hael.

1 maja na świecie



W Berlinie, w dniu 1-go maja, sprzedają na ulicach czerwone gwoździki, jako signum-diae.





Przed pałacem w Berlinie tłum słucha z nabożeństwem przemówień pierwszomajowych.



Dorocznym zwyczajem odbyły się w różnych punktach miasta pochody socjalistyczne i wiece, podczas których dochodziło często do starć na pałki między socjalistami i komunistami. Wskutek energicznej postawy policji nie doszło do poważniejszych starć. Na zdjęciu: pochód socjalistyczny na ulicach Warszawy.

Manifestacje w New Yorku.

Czy Nostradamus przepowiedział postęp techniki?

Nazwisko Michała Nostradamusa, wieszcza prowansalskiego, zmarłego w roku 1566 staje się na nowo aktualnem. Już podczas wojny europejskiej, zarówno w Niemczech jak i we Francji przypomniano sobie o księdze przepowiedni Nostradamusa, które okazały się nadspodziewanie zgodne z prawdą. Wróżby te, pisane zawsze w przenośniach, naszpikowane cudzoziemskiemi wyrazami i tajemniczemi metaforami miały licznych wrogów, którzy twierdzili, że można je sobie wytłómaczyć dowoli, według własnych potrzeb. Budowa strof, z których się składają wieszczby, złożona ze słów, zapożyczonych ze staro-prowansalskiego języka, przypomina chwilami klasyczne strofy epopej greckich czy rzymskich, przyczem złudzenie to potęgują mitologiczne postacie oraz liczne anagramy, przysparzające skrzętnym tłumaczom wzruszeń, niczem przy rozwiązywaniu zawiłych rebusów. Trudność w odczytywaniu tych pisanych hieroglifów przyszłości powiększają częste zamiany liter w słowach, jak naprzykład: *Rapis* zamiast Paris lub też trudne przenośnie, jak: *Temple* zamiast Francja, albo *gar tête rasée* — co ma oznaczać Napoleona. Również dobrze możnaby to pojęcie wytłumaczyć sobie jako oznaczające mnicha, czy też wogóle duchownego z tonsurą na głowie. Wybór dosyć trudny.

Obecnie jednak skrzętny i pracowity tłómacz przepowiedni Nostradamusa, C. Loog oświadczył, że odkrył nareszcie klucz, przy pomocy którego najbardziej tajemnicze i niezrozumiałe wróżby jest w stanie dokładnie wyjaśnić. Według Loog'a, Nostradamus, chcąc jeszcze bardziej utrudnić i tak trudne do odczytania strofy ułożył je w porządku chronologicznym, a później poplątał między sobą. Powstały w ten sposób groch z kapustą podzielił na szereg przepowiedni i spisał w wielką księgę.

Złośliwiec ten, zapewne zdawał sobie sprawę z kawału jaki uczyni swym późniejszym interpretatorom, nie przewidział tylko genjalnego mózgu pana Loog'a, dla którego wszystko okazało się fraszką. Nie lada pracę wykonał Loog, układając strofy w porządku pierwotnym i tłómacząc je później, oczywiście według własnego systemu.

Przedewszystkiem, według Loog'a, Nostradamus przewidział wszystkie wynalazki techniczne. Historję tych wynalazków zamknął w niezliczonych czterowierszach nazwanych przez Loog'a *Quatria'ami*.

I tak. W *Quatrain'ie* V. 57 doszukuje się przepowiedni balonu:

Istra de Mont Gaufier et Aventin
Qui par le trou advertira l'armée
Entre deux rocs sera pris le butin
De Sext mansol faillir le renommée.

„Mont Gaufier" jest zatem niczem innem, jak grą słów, na oznaczenie braci Montgolfier'ów, wynalazców pierwszego balonu. „Qui par le trou advertira l'armée" oznacza pierwsze użycie balonów obserwacyjnych, w bitwie, w roku 1794. „Aventin" znowuż nie jest to *mons Aventinus*, ale posiada głębsze znaczenie i należy przetłumaczć *„a vent un"*, co ma zwiastować balony sterowe.

Aeroplanu dopatrzył się Loog w quatrain'ie II, 75:

La voix ouye de l'insolit oyseau
Sur le canon du respiral estage.
i t. d.

„Kiedy rozlegać się będzie ponad dymnikami domów głos niezamieszkałego ptaka..." Niezamieszkałym więc ptakiem jest samolot. Jasne... Nieprawdaż?... Dobrze, że pod słowami „le canon du respiral estage" nie odkrył Loog dział przeciwlotniczych. A niktby mu w tem napewno nie zaprzeczył, gdyż o parę strof dalej, Nostradamus, mówi o ciężkich pociskach, któremi bombardowano Paryż z odległości 100 kilometrów: „Błysnął wyrzucony w Burgundji potwór. Niktby nie przypuścił, że do tego jest potrzebna maszyna..." A ponieważ ciężkie działa, ostrzeliwujące Paryż stały pod St. Gobain, w sercu Burgundji, sprawa dla pana Loog'a jest całkiem jasna.

W quatrain'ie IV 100 znajduje dalej, że „ogień spada z niebios na dom królewski." Niema zatem dwuch zdań. Są to ciężkie granaty. Przyczem „dom królewski" to nic innego jak Paryż.

Łódź podwodna nie była dla Nostradamus'a nowością, gdyż ją przewidział i uwiecznił w dość złożonym czterowierszu. Pierwszy wiersz, według Loog'a mówi o piecu elektrycznym dla topienia złota i srebra:

Par foudre en l'arche or et argent fondu
De deux captifs l'un l'autre mangera
De la cité la plus grande estendue
Quand sumbergée la classe nagera.

Loog tłómaczy: „Kiedy piorun stopi złoto i srebro i kiedy zanurzona flota zacznie płynąć, wtedy dwuch więźniów w dalekiem mieście pożre jeden drugiego". Loog szydzi przytem z Le Roux, który w 1710 roku, rozumiał słowo *submergée* jako flotę zatopioną. Gdybyśmy jednakże chcieli pod słowa *foudre* wstawić *wojnę*, a zamiast *arche* w przenośni *dom*, to wróżba brzmiałaby inaczej: „Kiedy na skutek wojny wszystło złoto i srebro zostanie w domu stopione i kiedy flota zostanie spuszczona pod wodę, wtedy w dalekiem mieście dwuch więźniów będzie się wzajemnie pożerało". Pod dom możnaby było rozumieć Anglję ogołoconą z żywności, a pod dalekie miasto Londyn.

Przepowiednia łodzi podwodnej u Nostradamusa nie jest znów czemś tak nadzwyczajnem, chociaż tego pragnie pan Long. Współcześni Notradamusowi, jak angielski matematyk William Bourne, w roku 1582 powziął myśl zbudowania łodzi podwodnej, a w dziele Magnusa Pegeliusa, w roku 1604. znajduje się obszerny rozdział traktujący z zadziwiającą dokładnoś-



Wiosna w całej pełni... Kiercelak rozebrzmiał wzdłuż i wszerz radosnym świergotem ptasząt, które, niepomnąc na swe więzienne klatki, oddają dziękczynny hołd królowej — wiośnie (fot. Sitkowski).



Karykatura Belskiego, świetnego aktora „Nowego Ananasa".

cią o zasadach pływania pod powierzchnią wody oraz o trudnościach, które należy przezwyciężyć. Wiadomem jest również, że holenderski fizyk Cornelius Drebbel przepłynął w roku 1620, w zbudowanej przez siebie łodzi podwodnej spory szmat drogi, w dół Tamizy.

W quatrain'ie I, 29, gdzie jest mowa o rybach lądowych i wodnych dopatruje się Loog machiny wojennej, ni to auta pancernego, ni to łodzi motorowej, w każdym bądź razie jakiejś kombinacji, umożliwiającej poruszanie się na lądzie i wodzie.

Wszystkie jednak opisane powyżej przepowiednie dotyczą raczej i faktów, które się spełniły. Uchylmy jednak teraz wspólnie z panem Loog'iem zasłonę przyszłości:

Quand lampe ardente de feu inextinguible
Sera trouvé au temple des Vestales,
Enfant trouvé, feu, eau passant par crible:
Périt eau, Nimes. Tholose cheoit les hales.

Loog tłumaczy: „Kiedy lampa, płonąca wiecznym płomieniem, jak dziecko ognia, przez które woda przechodzi jak przez sito, zostanie znalezione w świątyni westalek, wtedy Nimes zginie w falach a krużganki Tuluzy się rozpadną". Loog stara się to tłumaczyć jako przeczucie wynalazku wiecznie płonącego światła, którego źródło nigdy nie wygaśnie.

Gdyby jednakże pan Loog zadał sobie trudu i zajrzał do historji to dowiedziałby się, że w roku 1594 w okolicy miasta Nimes nastąpiła katastrofalna powódź, o tak znacznych rozmiarach, że lampy zawieszone u stropu by.y zalane przez wodę, która się lała przez stropy budynków, jak przez sito.

Charakterystycznym dla przepowiedni Nostradamusa jest fakt, że można je przystosować jedynie do rzeczy, które się już stały i to według własnego widzimisię. Wysnuć z nich dzieje przyszłości byłoby tak samo trudnem, jak pozmieniać konstelacje niebieskie.

Gdyż naprawdę nie sposób jest uwierzyć, by znalazł się człowiek, choćby najbardziej genjalny, któryby potrafił wysnuć dzieje ludzkości na kilka wieków naprzód.

(g.)

Pierwsze ładne dnie

w okresie przejściowym między zimą i wiosną są zwykle bardzo zdradliwe i niebezpieczne, gdyż często usposabiają do grypy, anginy, kataru i innych chorób z zaziębienia. Najlepszy sposób uchronienia się przed temi przykremi cierpieniami polega na codziennem zażywaniu kilku pastylek Panflaviny, które należy powoli rozpuszczać w ustach. Pastylki Panflaviny chronią w sposób niezawodny przed zaziębieniem, gdyż odkażają jamę ustną i gardło i nie dopuszczają do rozwoju zarazków chorobotwórczych. Ze względu na przyjemny smak pastylek nawet dzieci zażywają je bardzo chętnie. Pastylki Panflaviny są do nabycia we wszystkich aptekach.

Przebieg obchodu 1 maja na całym świecie był spokojny. Zarządzenia, poczynione we wszystkich krajach celem sparaliżowania knowań Kominternu i jego „jaczejek", okazały się celowe, a klasa robotnicza miała możność celebrowania swego święta bez krwawych ofiar — godnie. Tu i ówdzie poruszono na akademjach sprawy zasadniczej natury, które jednak, wobec ogólnie panującego zastoju gospodarczego, stanowiącego główną troskę mas — nie wywarły głębszego wrażenia. Bo czy może być aktualną sprawa X-godzinnego, zredukowanego gwoli dobra robotników, tygodnia pracy, wobec faktu zredukowania zatrudnienia z konieczności do 2—3-ch dni? Walka o zabezpieczenie bytu bezrobotnych jest również czczem hasłem, gdyż klasy pracujące doskonale zdają sobie sprawę z trudności, z jakiemi walczą rządy w kierunku zabezpieczenia źródeł finansowych celem zaspokojenia potrzeb mas. Hasła rozbrojeniowe stały się również udziałem wszystkich i przeniesione zostały na grunt oficjalnych rozważań międzynarodowych. Co więc pozostaje? Czysto lokalne zatargi pomiędzy różnorodnemi frakcjami, na które rozbita jest lewica — no i zajęcie wspólnego frontu przeciw komunizmowi.

Obchód 10-lecia przyłączenia Śląska wypadł znakomicie. Pan Prezydent, w towarzystwie p. premjera i ministrów przyjął osobisty udział w uroczystościach w Katowicach. Opinja niemiecka zajęła, jak należało się spodziewać, stanowisko nieprzychylne, podkreślając, iż obchód ten jest wobec Niemiec prowokacją, a rząd polski, faworyzując związki powstańcze, popełnia poważne faux pas, zwłaszcza w przededniu konferencji genewskiej.

Odbyło się posiedzenie rady zarządzającej francusko-polskiego towarzystwa linji kolejowej Gdynia — Śląsk. Rada, stwierdziwszy, że wszystkie formalności, dotyczące otrzymania koncesji na linję kolejową Śląsk—Bałtyk zostały dokonane, postanowiła przystąpić do emisji pierwszej transzy obligacji na sumę 400 miljonów franków.

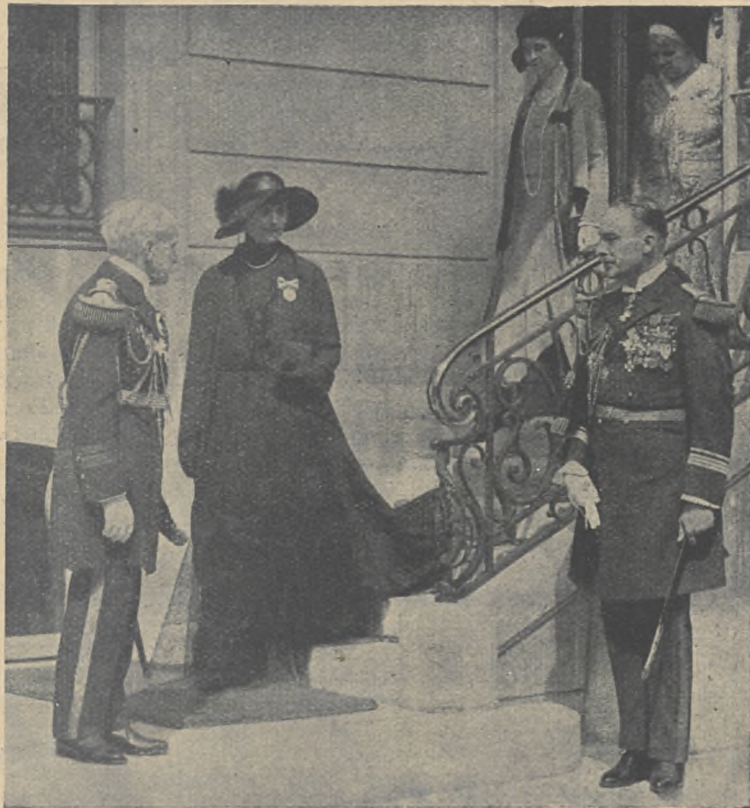
Na czoło ewenementów politycznych wysuwa się mowa francuskiego premjera Lavala, w której dał wyraz rozgoryczeniu, iż w odpowiedzi na usiłowania oparcia równowagi światowej na solidarności wszystkich państw, w Berlinie wciąż kiełkuje polityka *prestige'u*, nie uznająca żadnych węzłów spójności, zwłaszcza międzynarodowej. Stare antagonizmy popierane są przez polityków złej woli, którzy, niestety, znajdują aprobatę dla swoich poczynań. Aktywność polityki zagranicznej Niemiec musi budzić najpoważniejsze obawy. Unja celna jest jednym z licznych dowodów nastrojów, panujących nad Szprewą, a za nią idzie kwestja Gdańska oraz zastraszające tendencje w kierunku równości zbrojeń, prowadzące do remilitaryzowania Niemiec.

W Rumunji rozpisane zostały nowe wybory. Królowie rumuński i jugosłowiański spotkali się w Drenkowie nad Dunajem, gdzie odbyli dłuższą konferencję. Spotkanie to stoi w pewnym związku z odbywającą się równocześnie konferencją państw Małej Ententy.



Generalny inspektor Naczelnej Dyrekcji Towarzystwa Ubezpieczeń Adriatica di Sicurta, p. Purich-Purini mile dał się poznać szerokim rzeszom naszej stolicy ze swej działalności w kierunku ożywienia stosunków polsko-italskich

Co słychać na świecie



A podczas, gdy trony się walą, w Belgji uroczyście celebrowano zaslubiny księcia Parmeńskiego, Gaetana de Bourbon, z księżniczką Małgorzatą de la Tour et Taxis. Na fotografji — b. cesarzowa Zita.



Śmiały lotnik angielski, A. Coustauld, który w ub. listopadzie odleciał na wyprawę arktyczną, zginął bez wieści w okolicach Groenlandu. Szwedzki lotnik Ahrenberg wraz z kpt. Ralfem Raynorem odlecieli z Bergen na czele ekspedycji ratunkowej.



Książę Fernand Nunez oddał do dyspozycji króla Alfonsa XIII wspaniałą swą rezydencję rodową w Dave (p. Namur).



Iga Korczyńska olśniewa zawsze i wszędzie swym oszałamiającym tańcem i... sobą...
(fot. Radiotyp).

TEATR NOWY: „Pod falami" Jana Adolfa Hertza

Jaki autor, taka sztuka. Jan Adolf Hertz to jeden z nielicznych już dziś ludzi i pisarzy „z sercem". Ma serce już w nazwisku, ma je również w sposobie pisania. Jest poczciwie serdeczny, wierzy w dobro, w uczucie, ma w sobie niewyczerpane zapasy idealizmu,, tkliwości, czułości, pisze bardzo rzewnie. Czynił to już i dawniej, a tembardziej teraz, gdy po szeregu niezmiernie tragicznych przeżyć osobistych, głęboko odczutych, zrozumiał w całej pełni, co znaczy ból i cierpienie i jak ono w pewnej mierze działa uszlachetniająco na dusze ludzkie. Dlatego też w jego sztuce pełno poświęceń, wyrzeczeń własnego szczęścia dla szczęścia innych. Zarzucano J. A. Hertzowi przestarzałość i banał — niesłusznie. To prawda, stał się trochę niedzisiejszy, ale może lepiej, że został przy swoich pojęciach, niż gdyby miał narzucać sobie poglądy i metody, niezgodne z całą jego strukturą duchową i artystyczną. Zresztą, jeżeli brać ilościowo, raczej on trafi do przekonania przeciętnego widza teatralnego, niż ktoś, coby rzecz ujął bardziej nowocześnie. Osobiście, również rozumowałbym inaczej, niż Hertz i inaczej akcję rozwinął, ale objektywnie muszę przyznać Hertzowi, że po swojemu przeprowadził wszystko nader konsekwentnie i postawiony sobie cel osiągnął w całej pełni. Dopomógł mu do tego cały zespół Teatru Nowego, z Gorczyńską i Różyckim na czele. Na szczególną uwagę zwracały: niezmiernie subtelny ton kreacji Dulęby i rewelacyjny talent młodziutkiej Łukowskiej, nie wiadomo skąd nagle wydobytej, a zapowiadającej się na gwiazdę aktorską pierwszej wielkości. Jaka szczerość i w dziecięcej figlarności i potem w nagłym błysku zrozumienia tragedji rodzinnej! Bardzo, bardzo interesujące objawienie talentu! Pyszny był również mały chłopczyk, A już burza Drabika — to szczyt artyzmu... perkusyjnego.....

TEATR POLSKI: „Król teatru" G. S. Kaufmana.

Sztuka amerykańska, a więc pogoń za dolarem, wzajemne „nabieranie się" i „nabijanie w butelkę". Nic tak nie zniechęca do Ameryki, niż takie sztuki. Aż przykro pomyśleć, do czego może dojść zmaterjalizowanie społeczeństwa. Wcale nie uważam, aby moment miłosny musiał stale dominować w sztukach teatralnych. Można go śmiało sprowadzać na ostatni plan (Winawer), ale jeżeli mamy zamiast romantyzmu erotycznego, otrzymywać romantyzm dolarowy, to dalibóg, wolimy ten pierwszy. Było już kilka takich bomb „dolarowych" w teatrze Letnim („Potęga reklamy" i jakaś sztuka o nafcie) i nie spotkały się u nas ze zrozumieniem, ani z uznaniem. Jak już bomby amerykańskie, to takie, jak: „Artyści", „Broadway", „Anna Christie"...

Teatr Polski posiada tak znakomity zespół aktorski, że zawsze warto go oglądać w jakiejkolwiekbądź sztuce. Samborski zawsze będzie wspaniały, Wesołowski przemiły, Lubieńska pełna wdzięku i pobłysków szczerego talentu... Bardzo soczyste i pełnokrwiste kreacje dały Modrzewska i Macherska, a Szymbortówna była niezwykle „życiowa". Wprost trudno bardziej! Sympatycznie mignęła Czaharska. Z epizodów zasługują na szczere uznanie Łapiński i Ratschka.



„Wiktorja" (Elna Gistedt) i „jej huzar" (Wawrzkowicz) w „Nowościach".
(fot. Forbert)



Pp. Czacharska, Szymbortówna, Bogusiński i Chmurkowski w „Królu teatru".

TEATR ANANAS: „Nidyskrecje majowe".

Ostatnia rewja przed przeprowadzką do ogródka, a więc trochę „puszczona". Należy się spodziewać, że w następnej rewji już wszystko znów będzie dobrze, nie będzie zwłaszcza krzywdzących wypadów przeciw przedstawicielom prasy, którzy sobie tego nie życzą. Wogóle, trzeba pomiętać, że kto z prasą wojuje, ten od prasy ginie i dlatego, mojem zdaniem, zawsze lepiej nie zadzierać z prasą, której przecież „Ananas" tak bardzo wiele zawdzięcza.

Zabrakło tym razem Dusi Sozonowicz, a szkoda tego ładnego kwiatuszka z wianka niewieściego „Ananasa". Z pozostałych: pięknie śpiewa Orska, coraz korzystniej rozwija się milutka Gilewska, a nadewszystko porywa i odurza swym wspaniałym tańcem nieoceniona Korczyńska. Dobre groteski dają Runowiecka i Skwierczyńska. Personel męski nie ma pola do popisu.

Henryk Liński.

WIKTOR PRZECŁAWSKI.

BEZ WODZA

(Fragment z roku 1831-go)

...Wesoła piosnka dzwonną falą pognała na pola. Minęli już cichą wieś minęli dwa ostre zakręty drogi i jechali teraz wśród szczerych pól ku sinym w oddali lasom. Mijali zagony niedojrzałych jeszcze zbóż, mijali rozległe, puste kartofliska i rzadkie wierzby przydrożne, kurzawą szarą pokryte, i odwieczne, czarne krzyże, odwiecznie smutne, odwiecznie samotne. Lecz młodocianemu sercu śnił się teraz wspaniały, rycerski sen, purpurową łuną zwycięstwa jaskrawie oświecony, bohaterstwa dyszący wiekopomną chwałą i taki jasny i czysty i złoty, jak samo słońce promienne na niebie.

Miał przy boku karabelę ojca. Ojciec ją od swego otrzymał rodzica, a dziad od pradziada. Czysta to była polska, niesplamiona broń, jasny oręż honoru i zwycięstwa, szczerbiony jeno na karkach wrogów, i obcy wszelkiej prywacie i złości.

— Tobie przysięgam — szeptał w duchu — stracona przeszłości i tobie, święta, podeptana chwało, że nie ulęknę się przemocy, nie zadrżę w boju, nie uznam przewagi śmierci i nie przeżyję hańby. Śmierć, albo zwycięstwo!

I dojrzał w tej chwili młodzian, w męża się przemienił. Łzy najczystsze, łzy najlepsze zabłysły w jego oczach, i załamał się w tych łzach purpurowy odblask zachodzącego słońca.

— Jakby krew — pomyślał Maurycy i nagle ogień jego serca przeszyło bezlitosne zimno groźnego przeczucia.

— — — — — — — — — — — — — — —

...Lecz spełniły się przecież młodzieńcze marzenia! Przejeżdżał w szeregu ułańskim rodzime, błotniste drogi, brał już udział w trzech konnych atakach, był nawet ranny, a choć bardzo lekko, lecz krew już przecie naprawdę płynęła! Radowała się najszczerzej dusza i ogniem niegasnącego zapału płonęły promienne oczy. Wrósł odrazu w szereg szarej braci, jakby już w tym szeregu całe miesiące spędził, i w przeciągu tygodnia stał się doskonałym żołnierzem. Nie wiele wiedział o ogólnem położeniu, nie rozumiał jeszcze tajemnic gry wojennej, lecz święcie wierzył w dobre natchnienia wodzów, za nienaruszalną i nieprzemożną uważał wolę generała Skrzyneckiego i zapatrzony w jego gwiazdę, hetmanem swoich marzeń, hetmanem zwycięstwa go czynił. I to mu wystarczało. Wiedział zresztą, że bierze udział w jakiejś ryzykownej i ważnej wyprawie, i codzień oczekiwał nadzwyczajnych, potężnych wydarzeń. Zapewne połączą się z armją główną, zapewne stoczą bój decydujący. A żołnierz polski nie przegra tego boju!

— — — — — — — — — — — — — — —

Oddział pułkownika Ludomira Rusieckiego składał się z 500 wyborowej jazdy, około 1000 ochotniczej piechoty i posiadał dwa działa lekkie. Stanowił teraz niejako straż przednią sił, które miały być wysłane dla utrudnienia przeprawy Paskiewiczowi i także dla zniszczenia mostu. Oczekiwano ciągle łączników i gońców, i w tem oczekiwaniu posuwano się naprzód niesłychanie ostrożnie, możliwie lasami, a stale bocznemi drogami, unikając spotkania z większemi siłami wroga, a niemal codziennie staczając potyczki z konnemi rozjazdami. Rusiecki, partyzant świetny, przytomny i odważny, znający kraj doskonale, tak zręcznie myszkował wśród mas armji wrażej, że wreszcie w dniu 17 lipca 1931 roku dotarł do Wisły i „schował" swój oddział w zupełnej bliskości głównych sił nieprzyjaciela.

Święcie wierzył i był jeszcze głęboko przekonany, że stoją właśnie na progu olbrzymich wydarzeń, że główna kwatera obmyśliła już napewno rozumny i ostrożny plan, który przez pełne zapału wojsko wykonany zostanie wprost świetnie, i nie pozwoli armjom rosyjskim bezkarnie przeprawić się przez Wisłę.

O ruchach armji rosyjskiej posiadał pułkownik Rusiecki wiadomości najzupełniej pewne. Wiedział, że 12-go lipca stanęła ona we wsi Srebrnej, i tylko kawalerja Witta znajdowała się jeszcze w pobliżu Płocka. Trzynastego poszli Rosjanie do Kamienia, czternastego do Lipna, pozostawiając Witta nad Skrwą. Już 16-go rozłożyli się Moskale pomiędzy Kikolem i Wolą, i dziś, lada chwila należało oczekiwać, że rozpoczną przeprawę. Nie zaczynali jej jednak. Trwali na swoich stanowiskach w zupełnym bezruchu, wysyłając tylko rozjazdy kozackie, i najwyraźniej na coś czekając. Rusiecki tedy był coraz lepszej myśli. Będzie bitwa, będzie bitwa — dzwoniło mu ciągle w uszach, i niecierpliwił się coraz bardziej.

Lecz godziny szły i nic się nie działo. Dopiero około czwartej popołudniu przybiegł piechur z wieścią, że placówki przepuściły majora z głównej kwatery, który już, już nadąża. Porwał się Rusiecki z miejsca, energicznym ruchem wąsiska rozgarnął, szablę przypasał i na ganek wypadł.

— Gdzież ten major? — wrzeszczał.

Majorem tym był Ciechomski. Był tak przemęczony daleką drogą, że z trudem wielkim zsiadł z konia, zatoczył się zaraz i byłby niechybnie upadł, gdyby go nie podtrzymali żołnierze.

Zdumiony pułkownik otoczył go ramieniem, do dworu wprowadził. Usadził go przy otwartem oknie, kazał dać jeść i pić, i nierychło zapytał:

— Skądże major tak walisz? Wieści masz, rozkazy?

— Cudem się do was dostałem — cicho odparł Ciechomski — i prawdę rzekłszy, za straconych was miałem. Jakże pan przetrwałeś, pułkowniku?

— Jakto, jak?! — oburzył się Rusiecki, tknięty nagle możnem, straszliwem przeczuciem. — Przecież jako straż przednia walę, więc o co się mam bać, o tyły?! Kozaków nieraz przetrzepałem, piechotę tłamsiłem trzy razy, a armatki swoje w porządku mam, batalijony oba i szwadronów sześć także, rannych zgoła niewielu, a zabitych wszystkiego sześciu! To źle?!

— To poprostu świetnie, panie pułkowniku, i niezmierny to zaszczyt panu i pańskim ludziom przynosi, ale...

— Ale?! Mówże, major, do stu djabłów, bo mnie już jakaś cholera bierze! Wal szczerze, jakie jest *ale*, a potem już razem uradzimy!

— Ano, dobrze, panie pułkowniku! Otóż *ale* jest bardzo proste: *za panem nikt nie stoi i nikt nie idzie*, panie pułkowniku!

— Jakto nikt? — wymamlał zdumiony Rusiecki. — Jakto... nikt, panie majorze? Przecie miewałem wiadomości od Milberga.

Ciechomski nie patrzał teraz w poszarzałą i sfałdowaną twarz pułkownika. Palił go wstyd. I gniew. I nielitościwy już ból ostatniego zawodu, który go gnał tu aż z Warszawy, przeniósł jakimś cudem przez tysiąc niebezpieczeństw, i posadził wreszcie naprzeciw tego śmiałego, zdecydowanego dowódcy, którego Skrzynecki zużytkował całkowicie, tak, jak wielu innych, oszukał podle i podstępnie, i wreszcie rzucił na pastwę wrogom.

— Milberg — odezwał się po długiej chwili — odwołany do Warszawy. Trzecia i piąta dywizje piechoty są już w powrotnej drodze do stolicy. Brygada Skarżyńskiego również już opuściła płockie. Oddział twój też ma wracać do Warszawy.

Rusiecki wstał. Chwiejnym, wolnym krokiem przeszedł się po pokoju. Wielka jego twarz zaczęła powoli nabierać purpurą krwi, potężne piersi dyszeć niespokojnie. Zatrzymał się nagle przed bladym Ciechomskim, wyprostował się hardo, ręce założył na piersiach:

— Moich ludzi ja wyprowadzę i zmarnować nie pozwolę. Ja ich nie oszukam,ani lutej śmierci zadarmo nie wydam! Ale wiedzieć chcę! Mów pan, majorze! Z czyjegoż to rozkazu główne siły polskie wpuszczają bezkarnie Moskala?! Toć chyba nieporozumienie! Nie może inaczej być!

— Wszystko dzieje się za wolą Naczelnego Wodza.

— I ja z jego rozkazu mam wracać do Warszawy?

— Tak jest.

— I to on kazał mi iść aż tu, a teraz sobie łaskawie o mnie przypomniał?!

— Nie. Nie przypomniał sobie. Przypomniano mu...

— A gdyby tego nie zrobiono, zdusiliby tu pana, jak nic, jak mysz! Cóż to dla nich znaczy dwa tysiące ludzi, i dwie, ha! ha! ha! aż dwie armaty! Czy pan wie, pułkowniku, co się dzieje? Wiele Paskiewicz ze sobą prowadzi? Otóż wiem dokładnie, zupełnie dokładnie! Moskale mają tu jakieś 54.000 ludzi, zgóra trzysta dział i nieprzeliczone podobno tabory. I to wszystko, cała masa, przechodzi sobie przez Wisłę, jakby nigdy nic, jakby u siebie w kraju, bez bitwy, bez oporu! A wie pan pułkownik, dlaczego?! Będę panu rąbał teraz prawdę, żebyś pan wiedział, żebyś pan zrozumiał! Na czele naszej armji stoi nie wódz, nie żołnierz, nie człowiek honoru, lecz blagier, krętacz i błazen! Najwyższy nastał czas, aby go precz przepędzić, aby nareszcie napiętnować małość! Małość nas dusi, panie pułkowniku, zbrodnicza małość oręż z rąk nam wytrąca! Małość jest wszędzie. Tem tylko można wytłomaczyć, że Skrzynecki jeszcze jest, że rządzi bezkarny.

Rusiecki słuchał, struchlały. Kiedy major, zdyszany, umilkł nagle, zapadła długa, dręcząca cisza.

— Ano, cóż! — przerwał pierwszy major. — Należy prawdzie w oczy patrzeć tak samo, jak się na polu bitwy śmierci w oczy patrzy! Musimy przecie słuchać do ostatka. Szczęście to jeszcze, że my, wojskowi, honoru zawsze ustrzec możemy, i że w najgorszym razie honor ten przecie uratujemy... Czy pułkownik wie coś o tym moście?

— Wiem. Prawie gotowy i bardzo jest pilnie strzeżony. Ale to głupstwo! Cały teren ich przyszłej przeprawy otoczony jest jakby wieńcami dość znacznych wzgórz piaszczystych. Zajmij je waść jeno, baterje ustawiaj i wal! Głupstwo mosty i szaniec! Wszystko pójdzie w proch! Ale cóż ja? Ja mam dwie armatki!

Major ścisnął skronie rękoma, syknął i powstał nagle. Obejmowało go znowu dręczące, bezradne rozdrażnienie, i gwałtowny gniew znowu mącił przytomność myśli.

— Nic nie poradzimy, psiakrew! — wybuchnął z nową pasją. — Jesteśmy bezsilni! Mam wrażenie, panie pułkowniku, że tam, w Warszawie, nareszcie się coś zdecyduje! Huczek powstanie, huczek powstać musi! Jeśli tak trzeba, szablą podyktujemy jaśnie panom nasze warunki!

— Bój się Boga, majorze! Bój się Boga! — Twarz pułkownika sposępniała jeszcze bardziej. Oczy jego przesycił blask dziwnie ponury, zgoła już beznadziejny, i beznadziejność była w jego cichym głosie: — Tożby to była chyba największa calamitas! Czem się armja trzyma? Subordynacją tylko, świętością posłuszeństwa! Sejmiki w armji? To koniec! Koniec ostatniej

naszej siły! Toż są jeszcze oddziały, panie majorze, w których Skrzynecki wielkością jest bohaterską, i te oddziały mogą za nim stanąć! Wojna domowa!

— Wojny domowej nie będzie! — twardo odpowiedział major. — Ale jeśli my, panie pułkowniku, my, ludzie wiedzący, niczego przeprowadzić nie zdołamy, to stać się może rzecz znacznie gorsza, rzecz w skutkach swoich poprostu nieobliczalna: bunt armji. Bo czy pan, panie pułkowniku, nigdy nie pomyślał nad tem, jakie mogą być następstwa tego, że z każdym dniem rozszerza się w wojsku straszliwa wieść o nieróbstwie wodzów, o wypuszczeniu z rąk świetnych okazyj, o zdradzie niemal? Co będzie, jeśli to dzielne wojsko, prowadzone może przez nieodpowiedzialnych i niepożądanych agitatorów, ruszy na stolicę, na rząd, na sejm, na władze, i zażąda zdania rachunków?! Dlaczego teraz, dziś właśnie, kiedy już ostatnia wybija godzina, kiedy już Bóg szalę swą ma przeważyć, bez wystrzału wpuszczamy nieprzyjaciela, klęskę i hańbę gotując ojczyźnie?!

— Więc co robić? Co robić?! — pułkownik Rusiecki drżał już cały i jego olbrzymia postać jakby się łamać i kurczyć zaczęła. — Co robić? — powórzył kilka razy i wreszcie pobladłą zupełnie twarz bezsilnie zakrył rękoma. — Niczem jestem — zaczął szeptać po chwili — niczem, prochem człowieczym jeno, ziarnkiem w ręku Boga, ale ten Bóg Najsprawiedliwszy właśnie widzi, żem swojąą służbę twardo tutaj pełnił, żem pogrzebał wszystkie prywaty swoje i wszystkie ambicje, i żem jeno w ojczyznę naszą, jako w gwiazdę, patrzał.

Zaległo ciężkie milczenie. Lecz rychło pułkownik wstał, znów hardo się wyprostował, i otarłszy twarz swą kraciastą chustką, rękę na szabli położył.

— Ano — rzekł dziwnie zduszonym głosem — rozkazy wypełnię i do końca wypełniać będę, bom żołnierz stary, i basta! A w Bogu tuszę, że w razie najgorszym śmierć mi chwalebną da, bom sobie twardą mą pracą wyrobił i zasłużył! I niech Najwyższy winnych osądzi i nad samotnym narodem się zmiłuje! Amen!

— Amen! — głuchym głosem powtórzył major i powstał. Spojrzeli sobie w oczy głęboko i prawdziwie, i jednocześnie ku cobie wyciągnęli ręce. Uścisk był silny i szczery, jak tajemny pakt dusz, zawarty w imię sprawy i honoru.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Maurycy słyszał tę całą straszliwą rozmowę. Siedział teraz bez ruchu na ławeczce, wśród ozów, pod oknem, siedział, jak ogłuszony, i nie myślał, nie mógł myśleć. Lęk, który był lękiem bez nazwy, niesamowitym i tajemniczym, jak widmo wśród nocy, rozszerzył jego czyste, młodzieńcze oczy. Coś się w nim jakby nagle zawaliło, jakaś żelazna pewność runęła i teraz nastała chłodna, pustynna pustka — okropne, przeraźliwe NIC...

...Z chwały wodzowskiej, z pychy hetmańskiej szydercze jeno pozostały strzępy. Coście zrobili z naszą krwią?! Co odpowiecie tam, przed sądem Boga, kiedy was Największa zapyta Sprawiedliwość o nasze życie i o naszą krew?!

Wy... wodzowie!

Mieliście nas w ręku, jak żołnierz ma karabin, ślepych w posłuszeństwie, nieustępliwych w boju, pokonywanych jedynie przez śmierć! Wasz rozkaz był dla nas rozkazem Boga, wasz gest wszystkiem, wasz szept nadziei wichurą zwycięstwa!

...Oto dziś dzień krwi i chwały...

Tysiące, tysiące legły hen... pod Wawrem i Dobrem, pod Stoczkiem i Grochowem, pod Iganiami i Ostrołęką, i w niezliczonych potyczkach, pościgach i atakach! Nie dla was przecie, ale dla Polski!

Dlaczego teraz... oto teraz, gdy już ostatnia wybija godzina, dlaczego teraz pozwoliliście, by wróg bezkarnie deptał nasze ziemie, bezkarnie zadawał nam ostatnie ciosy, bez wystrzału podchodził do Wisły?!

...Oto dziś dzień krwi i chwały...

Ha! ha! ha! Chyba powstaną tysiące poległych, zbiegną się tu z pod Grochowa, Wawra, Igań, i z pól wszelkiej chwały, — rozniosą was, wodzów niedołężnych lub podłych, na swych zardzewiałych bagnetach — i uderzą zwartą, krwawą masą na przeklętego wroga! Bo inaczej, inaczej ratunku niema, inaczej wszystko przepadło, — przepadł nawet honor, ten najdrogocenniejszy, najświętszy honor, za który zginął nieśmiertelny książę!

— Więc co?! — pomyślał nagle. — Oddział powinien się rzucić na nich, zginąć do ostatniego, ale udowodnić, że są jeszcze Polacy... że jest honor... że jest Polska!

Ale tego pułkownik Rusiecki nie zrobi, tego mu nie wolno. Nie taki ma rozkaz. Ha! ha! Czyj rozkaz?! Łotra, łotra, łotra! Pojechać do Warszawy, strzelić w łeb Skrzyneckiemu, i krzyknąć na cały kraj: zabiłem zdrajcę!

Nagle Maurycy drgnął. Po chwili zamarł. W rozszerzonych jego, nieprzytomnych oczach, błysnęła gwałtownie nieprzytomna radość.

Porwał się z miejsca i w kilku susach dopadł ganku dworu. Na szczęście w tej chwili nie było tu nikogo. Wartujący żołnierz przeszedł właśnie na drugą stronę. Młodzian wkradł się do sionki i zniknął.

Wyszedł, kiedy już prawie dochodziła północ. Dźwigał na sobie wielką torbę, porządnie czemś napchaną, karabelę swoją podwiązał mocno i wysoko, a w ręku dzierżył ułański karabinek. Jak cień przemknął się przez ganek, jak cień zapadł w mroku ogrodu. Myszkował chytrze i sprytnie łanami falujących zbóż, bezszelestnie przemykał się przez ścieżki i śródpolne drogi, aż wreszcie wydostał się na łąkę, która łagodnie opadała już bezpośredni ku brzegowi Wisły. Wtedy zaśmiał się cicho, zaśmiał się tryumfalnie. Tu już był poza linją polskich placówek, tu już mógł działać swobodnie i pewnie, opętany szaleństwem swego zamiaru. Szybko zaczął zstępować w dół wielkiemi, szybkiemi krokami, po chwili biegł już w niecierpliwości, aż wreszcie, zdyszany i spocony, osunął się w wyczerpaniu na suchy piasek wybrzeża. Tuż, niemal u jego głowy, cicho bulkotały fale. Rzeźki chłód szedł od ciemnej toni, i jakiś szept wyraźny zdawał się mącić ciszę. Młodzian podniósł się rychło i ostrożnie teraz posuwał się naprzód. Marzeniem jego było zdobyć łódkę. W gorączce nagłego snu o honorze i o bohaterstwie wydało mu się wszystko możliwem, wszystko osiągalnem. Nie może przecież być, aby Wielki i Sprawiedliwy Bóg nie pobłogosławił jego samotnemu i bezimiennemu czynowi. Bo nie będzie wiedział nikt. Jakże? Opuścił obóz bez pozwolenia i pokryjomu, a jeśli mu się zamiar powiedzie, odwrót będzie miał z pewnością odcięty, o ile, naturalnie, nie zginie na miejscu. Ale.... niech zginie! Niech zginie, ale niech rzecz uda się w zupełności. Nie chce dla siebie ani sławy, ani honoru! Dla Polski! By się ocknęli wodzowie! By wieść o bezimiennym czynie piorunem kraj przeleciała, by postawiła na nogi wszystkich ofiarnych, by budziła jak dzwon alarmowy i by rozpętała taką burzę, która zmiecie z powierzchni ziemi zarówno zdrajców, jak wrogów!

Szedł coraz śpieszniej, zapominając o ostrożności. Nagle jednak gwałtownie przystanął, a w następnej sekundzie przywarł już do ziemi.

Może o sto kroków, na szczycie wzgórza stał na placówce piechur rosyjski. Poza nim, hen, jakby bardzo daleko, płonęły krwawo niezliczone ogniska, widniały oświecone niemi zarysy domków i namiotów, i szedł stamtąd cichy, ledwo uchwytny gwar.

Nasunął mu się bardzo prosty plan. Okrążył placówkę wroga, pełznąc szybko, a bez szelestu, i pomyślnie wdarł się prawie na szczyt wzgórza. Teraz należało upatrzyć tylko stosowny moment. Nie nadchodził długo. Wreszcie... Żołnierz odwrócił się twarzą do rzeki, a kiedy znowu się odwrócił, miał już lufę karabinu przystawioną do czoła.

— Milcz! — wycharczał Maurycy. — Milcz, jeśli ci życie miłe! Rzuć broń!

Żołnierz upuścił swój karabin i ręce podniósł do góry:

— Nie zabijaj! — wyszeptał. — Ja z litewskiego korpusu.

— Czegóż im służysz? Nie chcesz do nas?

— Poszedłby, panoczku, ale rodzina na Litwie została. A czy wy na Litwę przyjdziecie?

— Przyjdziemy.

— Oj, panoczku, daj Bóg, ale coś się tak nie widzi, ciężko u was idzie.

— Lecz cóż ja teraz z tobą zrobią?

— Weź mnie, panoczku, w plen! Nie chcę ja im służyć, nie!

— Dobrze, — zdecydował nagle Maurycy. — Tedy chodź! — schylił się szybko i podniósł porzucony karabin. — Innej broni nie masz?

— Nie.

— Chodź!

Zeszli nad rzekę. Maurycy z całego rozmachu cisnął moskiewski karabin w toń.

— Zostaniesz tu, lub możesz iść dalej tam. Most już gotów?

— Gotów!

— Łódki tu gdzie niema?

— Tu... nie! Wszystko w obozie. Patrole gęste... nie przejdziesz, panoczku. Chodźmy lepiej odrazu do twoich.

— Nie. Zaczekaj tu. Niedługo. Rozumiesz?

— Dobrze. — I żołnierz spokojnie usiadł na piachu. Wydobył z kieszeni kawał razowego chleba. Zaczął jeść. W jego ruchach i w całem jego zachowaniu się była dziwna, niewytłomaczona obojętność.

Maurycy odwrócił się i począł iść znowu w kierunku wzgórza. Nagle jednak zmienił zamiar. Postanowił skradać się wzdłuż rzeki, tuż u wód. Ciągle jeszcze żywił nadzieję znalezienia łódki.

Wtem usłyszał szmer. Gwałtownie odwrócił się, nim jednak zdążył cofnąć się i podnieść karabin, dwie potężne, grube łapy chwyciły go za gardło. Szarpnął się co siły, całem ciałem rzucił się naprzód i wtedy obaj runęli na ziemię. Długo trwało wściekłe szamotanie. Ale Maurycemu szczęście dotąd nieodmiennie sprzyjało. Choć kilkakrotnie uderzył głową o kamień, choć mu się w oczach zupełnie zaćmiło, a dreszcz bólu przeszył całe ciało — zdołał się jednak wyrwać na mgnienie z uścisku potężnych ramion, przyklęknąć i wyrwać z za pasa przygotowany do strzału pistolet. Krzyknął wtedy. Ten krzyk na jedną sekundę powstrzymał żołdaka, i to wystarczyło. Huknął wystrzał. Żołdak zwalił się odrazu, ciężko, na wznak. Maurycy znowu osunął się na ziemię. Czerwone, wielkie płaty latały przed jego oczyma, serce, zdawało się, piersi rozsadzi, a w obolałej czaszce nie było ani jednej myśli.

(Dokończenie na str. 399)

J. S. FLETCHER.

11)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.

Simmons nastawił uszu. Arradeane? James Arradeane? Odrzucając pierwsze cztery litery, zostawało tylko Deane; James Deane! Tak się nazywał ten, którego zamordowano w Suthernstowe! Przyszła mu nagle na myśl panna Pretty i pierwsza jej wizyta w kancelarji adwokata Shelmore. Panna Pretty zaznaczyła wówczas, że opiekun jej, James Deane, był z zawodu inżynierem. Czyż te dwa nazwiska miały z sobą coś wspólnego?...

— Tak? — zagadnął z udanym spokojem. — Ciekaw jestem tej historji.

Swale przyjrzał się szklance porteru pod światło i usadowił się wygodniej w fotelu.

— Opowiem panu, — rzekł. — Jest to najdziwniejsza historja, jaką słyszałem kiedykolwiek. Powtórzę ją tak, jak opowiadał mi ją mój ojciec. Muszę przedtem zaznaczyć, że przed dwudziestu pięciu laty w okolicy Normansholt odkryto wielkie pokłady węgla, to też wkrótce po tem odkryciu Normansholt stało się niejako miastem obozowem, do którego codziennie prawie przybywało mnóstwo obcych ludzi z pieniędzmi. Ludzie ci, w pragnieniu zdobycia majątku, zakupywali akcje kopalniane. Między innymi w owym czasie do Normansholt przybył James Arradeane. Był on z zawodu inżynierem, ale nikt nie wiedział, kim jest właściwie i skąd przyjechał. Przywiózł ze sobą żonę i wraz z nią zamieszkał w „Szlacheckim Dworze", który panu przed chwilą pokazywałem. Arradeane prowadził jakieś interesy z Towarzystwem tutejszych kopalń węglowych, które to Towarzystwo na rok przed jego przyjazdem właściwie dopiero powstało. Stosownie do słów mego ojca, który znał dobrze pana Arradeane...

— Czy ojciec pański żyje? — przerwał nagle Simmons.

— Umarł przed pięciu laty, — odparł Swale. — Otóż stosownie do jego słów, Arradeane był człowiekiem, który pragnął nadewszystko zrobić wielki majątek, chociaż podobno i on i jego żona byli ludźmi dość zamożnymi. Ojciec mój wspominał, że żona Arradeane była kobietą bardzo piękną i niezwykle mądrą...

— Jeszcze jedno słóweczko, drogi panie — przerwał znowu Simmons, — w jakim wieku byli wówczas państwo Arradeane?

— On mógł mieć około lat trzydziestu, a ona była o kilka lat młodsza, — odrzekł Swale. — Obydwoje byli bardzo rozkapryszeni i widocznie przyzwyczajeni od dzieciństwa do zbytku. Jednakże w mieście mówiono, że pożycie ich nie było szczęśliwe. Dzieci nie mieli, a tylko mieszkał z nimi brat pani Arradeane, typ patentowanego leniucha, zajętego tylko wynajdywaniem sobie rozrywek. Oczywiście siostra musiała mu dawać pieniądze na to wszystko, co, widocznie, irytowało jej męża i niejednokrotnie domagał się, aby żona brata swego usunęła ze wspólnego ich domu. Pani Arradeane słyszeć o tem nie chciała i prawdopodobnie na ten temat toczyły się częste sprzeczki, a nawet awantury. Wszyscy mieszkańcy miasta wiedzieli o tem, bo wie pan, że w małem miasteczku nic się nie da ukryć. Sąsiedzi nawet domyślali się, że właśnie te awantury były głównym powodem późniejszego tajemniczego zniknięcia Jamesa Arradeane.

Jakto? porzucił żonę? — zdziwił się Simmons.

— W sposób jaknajbardziej oryginalny, — uśmiechnął się Swale. — O zniknięciach tego rodzaju, naprawdę czyta się tylko w fantastycznych bajkach! Ojciec mi opowiadał, że Arradeane znali dokładnie wszyscy mieszkańcy miasta, czyli, że był osobistością niezwykle popularną. Obydwoje z żoną i z bratem żony mieszkali w „Dworze Szlacheckim", na tym placu. Pewnego dnia wszyscy troje siedzieli przy śniadaniu. Pokojówka, która podawała im do stołu, opowiadała potem, że rozmawiali z sobą przy stole bardzo przyjaźnie. Słyszała, jak Arradeane zakomunikował żonie, że o godzinie dziesiątej ma się spotkać z kilku panami z kopalni, w hotelu „Pod niedźwiedziem". Prawdopodobnie z tego powodu wyszedł z domu przed dziesiątą. Pokojówka widziała, jak przechodził przez plac „Dnia majowej zieleni" i kierował się w stronę rynku, gdzie znajduje się hotel. Od tej chwili nikt już więcej w Normansholt Jamesa Arradeane nie widział! Pokojówka była ostatnią osobą, która mogła coś o nim powiedzieć. Poprostu pan Arradeane zniknął bez wieści!

— Nie możliwe! — zawołał Simmons. — Przecież ktoś musiał go widzieć potem!

— Powiadam panu, że Arradeane był w Normansholt osobą dość popularną, — zapewnił Swale. — Trzeba wziąć pod uwagę, że przed dwudziestu laty miasto nasze było o wiele mniejsze i posiadało zaledwie od siedmiu do ośmiu tysięcy mieszkańców. Powtarzam raz jeszcze, że nikt zaginionego potem już nie widział. Również nikt w okolicy nie mógł nic o nim powiedzieć. Od chwili, gdy skierował się w stronę rynku, wszelki słuch o nim zaginął. Nie wrócił do domu ani tego dnia, ani nazajutrz. Żona jego jednak zdawała się tem zbytnio nie przejmować, a może przypuszczała, że mąż nagle niespodziewanie wyjechał. Dopiero po kilku dniach rozpoczęła poszukiwania. Okazało się, że Arradeane wcale nie był dnia tego w hotelu „Pod niedźwiedziem". Panowie, z którymi się miał spotkać, czekali nań z godzinę i wreszcie, zniecierpliwieni, poszli. Zbierano informacje na okolicznych dworcach kolejowych,

---

Skuteczne a szybkie odwanianie przykrej woni ciała

Nie ulega wątpliwości, iż między zmysłem powonienia a sferą seksualną istnieje ścisły związek. Zjawisko to poparte zostało tak licznemi dowodami, iż nauka dopatruje się w powonieniu wtórnego znamienia płciowego. Wiadomo, iż niektóre zwierzęta (np. piżmak) wydzielają z gruczołów swoistych intensywny zapach, którego wpływ na drugą płeć znajduje analogję w działaniu: samca ptaka śpiewem na samicę. U człowieka rozwijają się pewne części wewnątrz nosa jednocześnie z narządami płciowemi — w wieku dojrzewania. Fakt ten świadczy o ścisłym związku anatomicznym obu wzmiankowanych narządów. Krwawienie z nosa tak w wieku dojrzewania, jak i w okresie przejściowym u kobiet jest niezbitym dowodem oddziaływania funkcyj gruczołów płciowych na błonę śluzową nosa. Na związek obu tych narządów zwrócono już w starożytności uwagę. W wieku 18-m Lockes, w 19-m Clognet, a w nowoczesnej dobie Zwaardemaker utorowali drogę do naukowo ujętych wrót o działaniu zapachu na sferę seksualną, drogą zmysłu powonienia. Podobnie jak u zwierząt wydziela skóra ludzka, zależnie od rasy, specyficzną woń. Przenikliwą woń wydziela skóra murzynów. Mylne byłoby zapatrywanie, jakoby brak higjeny ciała był tego zjawiska przyczyną, ponieważ intensywność woni wzmaga się ze stopniem czystości. Przez odsłonięte bowiem pory łatwiej przenika woń z gruczołów skóry. Inny jest zapach prawidłowej skóry u rasy białej, inny natomiast po zaniedbaniu czystości ciała. Prawidłową woń ciała rasy białej odczuwa Europejczyk często przyjemniej, aniżeli perfumowaną skórę. O Aleksandrze Wielkim wspomina historyk Plutarch, iż skóra jego wydzielała woń fijołków.

Przykra woń pochodzi najczęściej z zaniedbania higjeny, czasem ma podłoże chorobowe. Uwzględnić należy odrębnie woń skóry głowy i włosów, pach, dłoni i stóp. Na rzadko mytej skórze głowy ulega tłuszcz zjełczeniu, w następstwie czego wytwarzają się nader przykrej woni kwasy tłuszczowe, tudzież składniki z rozkładu potu. Żadnem pachnidłem nie daje się przenikliwa woń kwasu tłuszczowego pokryć, ponieważ olejki eteryczne ulatniają się szybko w temperaturze ciała. Mydła, choćby najwonniejsze, potęgują raczej przykrą woń głowy, ponieważ zawierają kwasy tłuszczowe. Skutek momentalny osiąga się drogą zobojętnienia i usunięcia p r z y c z y n y. Do tego celu nadaje się jedynie staranne wymycie głowy Shampoonem Dra Lustra, który nietylko czyni zadość wymogom estetyki, ale stanowi preparat głównie higjeniczny, dzięki własności z o b o j ę t n i a n i a wszelkich wydzielin o przykrej woni. Całą skórę ciała odwania, usuwa gęsią skórę i czyni ją bajecznie gładką: Prodermoll „Miraculum". Przeciw nadmiernej wydzielinie potu pach, dłoni i stóp działa nader skutecznie „Dorado" Dra Lustra.

Dr. med. J. Libański.

ale i tu o zaginionym nikt nic nie wiedział. Ludzie zaczęli nawet podejrzewać, że Arradeane zginął w ruinach zamku, ale i tutaj poszukiwania nie odniosły żadnego skutku.

— I nikt nie wpadł na żaden pomysł? — zapytał Simmons, który dotychczas słuchał w milczeniu, starając się w myślach rozwikłać zawiłą zagadkę.

— Mój ojciec miał pewne domysły i prawdopodobnie słuszne, — odparł Swale. — Widzi pan, dookoła placyku „Dnia majowej zieleni", na którym ostatnio pokojówka widziała zaginionego, biegnie głęboki podziemny korytarz. Korytarz ten ciągnie się między domami i można nim wydostać się na błotniste łąki za miastem. Poprzez te łąki dochodzi się do gęstego lasu, ciągnącego się w odległości kilku mil w kierunku południowym. Otóż ojciec mój podejrzewał, że Arradeane korytarzem tym wydostał się na łąki, a potem do lasu, skąd wyszedł do jakiegoś małego miasteczka i wsiadł do pierwszego odjeżdżającego pociągu. W miasteczku tem, prawdopodobnie, nikt go nie znał, to też mógł wymknąć się, nie zauważony przez nikogo.

— Bardzo mądry pomysł! — przyznał Simmons. — Najprawdopodobniej Arradeane tak uczynił. A co z pieniędzmi?

— Ach! — zawołał Swale. — To także była ciekawa historja. Mówiłem panu, że obydwoje państwo Arradeane byli ludźmi zamożnymi i każde z nich posiadało swoje własne kapitały. Arradeane w mieście nie był nikomu winien ani pensa. Pieniądze swe złożył w banku w mieście Alsthford, oddalonego stąd o dwadzieścia mil. Okazało się potem, że na dwa dni przed zniknięciem podjął z owego banku cały złożony tam kapitał. A zatem, prawdopodobnie, zabrał pieniądze z sobą. Cwany chłop, co? Pomysłowo uwolnił się od żony!

— A co z nią? — zapytał Simmons. — Co się z nią stało?

— Przez pewien czas mieszkała jeszcze tutaj, — rzekł Swale. — Ojciec mi opowiadał, że po tygodniu już zaniechała wszelkich poszukiwań. Podejrzewano nawet, że domyślała się, co się z mężem stało. W niespełna trzy miesiące po zniknięciu Arradeane, żona jego sprzedała wszystko i razem z bratem przeniosła się do Londynu. Od tego czasu w Normansholt nic już o niej nie słyszano. Widocznie nie chciała spotykać się z ludźmi, którzy tak dobrze znali jej męża! Czy nie uważa pan, że ta dziwna historja mogłaby służyć za temat do jakiejś fantastycznej noweli?

— Nie zastanawiałem się jeszcze nad tem,— odparł Simmons sucho. — Może pan ma słuszność. I powiada pan, że kiedy to się wszystko stało?

Mniej więcej dwadzieścia, do dwudziestu trzech lat temu, — rzekł Swale. — Na parę miesięcy przed zjawieniem się mojem na tym padole płaczu!

— To, prawdopodobnie, jest wielu ludzi jeszcze w Normansholt, którzy pamiętają dokładnie pana Arradeane i jego żonę — zauważył Simmons.

— Ależ naturalnie, drogi panie! — zawołał Swale. — Całe mnóstwo tutejszych mieszkańców doskonale go pamięta. Nawet gospodarz tej oberży opowiedziałby panu tę historję lepiej ode mnie, bo znał osobiście zaginionego. Ja, oczywiście, powtarzam tylko to, co słyszałem od mego ojca.

— Tak, rozmaite rzeczy dzieją się na świecie — westchnął Simmons. — W naszym zawodzie słyszy się o tem niejednokrotnie, nieprawda?

— Ma pan słuszność, — przyznał Swale w zamyśleniu. — Zawód nasz jest jednak bardzo ciekawy. Adwokaci są niejako spowiednikiem ludzi nieszczęśliwych, lub wyrafinowanych. Napije się pan jeszcze porteru?

(D. c. n.)

WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Historja o prawdziwie — fałszywym Murillu

Urodził się gdzieś, w dalekich kniejach brazylijskiego lasu, jako syn bogatego kolonisty. Zgodnie z wolą rodziców przystosowuje się Wiljam Mc. Gates do stanu duchownego. Szybko jednak porzuca ten zamiar, zapisując się na wydział medyczny. Lecz i tu nie znajduje zadowolenia, zrywa na zawsze z nauką i dając upust przemożnej chęci poznania kraju, rusza w świat. Wkrótce przebywa całą Amerykę, podróżując względnie nie drogo, bo na buforach lub w węglarkach, jako wykwalifikowany tramp. Zmienne koleje losu rzucają go do Europy. Tu dokonywa całego szeregu tricków, fantastycznych wprost w swych pomysłach. Wzbogacony dużym zapasem praktyki, wraca do Stanów z silnem postanowieniem zmiany nabytego doświadczenia na bieżącą walutę.

Z okresu jego występów warto przytoczyć, niefortunny wprawdzie, ale oryginalny kawał z gołębiami pocztowemi.

Pan Albert Cudham znany był z dwóch rzeczy: z dziwactwa i bogactwa. Mieszkał w ustronnej, pięknej willi pod Londynem. Któregoś dnia, stróż, otwierając rano bramę, ze zdziwieniem spostrzegł klatkę, a w niej dwa białe gołębie pocztowe. Przyglądając się z zainteresowaniem ptakom, dojrzał leżącą na dnie kopertę, adresowaną do jego pana. Kiwając głową, zaniósł stary sługa list na górę. Pan Cudham odrazu przeczuł coś złego. Otworzył jednak list, mozolną mozaikę liter, wyciętych z „Timesa" i z przerażeniem odczytał:

„Panie Cudham! Ma pan w ciągu dwudziestu czterech godzin przysłać przez gołębia pięć tysięcy funtów. W razie, gdyby zawiadomił pan policję, willa pańska wyleci w powietrze. Banknoty należy tak ptakom przytwierdzić, żeby nie zginęły podczas lotu".

Mr. Cudham nie był jednak tchórzem. Skomunikował się natychmiast ze Scottland Yardem, a w parę chwil później zjawił się inspektor Cunter, z którym odbył małą konferencję.

Wreszcie ptaki puszczono. Wzięły kierunek wprost na północną ubogą dzielnicę Londynu.

Mac Gates, będąc na czatach tego dnia, z zadowoleniem spostrzegł powrót gołębi. Nagle uszu jego doszedł warkot silnika. Samolot kilkakrotnie zatoczył koła nad domem. Podejrzenie wkradło się do jego duszy, zrozumiał wszystko odrazu. Policja, idąc za wskazówkami pilota, nie zastała już właściciela gołębi.

Porażka ta była chyba jedyna w powodzi tryumfów, odniesionych w Ameryce. Łatwo jednak zdobywane pieniądze równie łatwo topniały, a potrzeby ciągle wzrastały. Przy pomocy tedy swej przyjaciółki przystąpił Mc. Gates do nowej afery.

Działo się to w St. Louis. Pewnego dnia ukazało się w miejscowej gazetce niewinne ogłoszenie:

„Potrzebna dobrze utrzymana lodownia".

Z pośród ofert wybrano jedną, drobne uszkodzenia poprawiono i szafa była „jak nowa". Pani Jellows była niepomiernie zdziwiona, gdy nad wieczorem zjawiło się czterech tragarzy z dużą szafą. Na zapytanie, kto ich przysłał — odpowiedzieli, że pan Jellows wstąpił przed wyjazdem do firmy, kupił lodownię i kazał przysłać. Lodownię ustawiono w kuchni. Pani Jellows dała suty napiwek i obie z córką, ucieszone troskliwością ojca i męża, zaczęły ją oglądać. Niestety — nie było sposobu otworzyć szafy.

„Nic pilnego, poczekamy, aż papa wróci. Musi znać chyba mechanizm tej szafy.

„Lepiej może zadzwońmy do firmy, żeby nam powiedzieli, jak się ona otwiera" — powiedziała pani Jellows. Okazało się jednak, że o tej porze sklep jest już zamknięty.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zjawili się wczorajsi tragarze po szafę. Zaszła pomyłka w adresie. Szafa był dla pani Fellow. Ze smutkiem i tajoną urazą do męża, oddała pani Jellows lodówkę.

W jakiś czas po wyjściu ludzi, wpadła panna Jellows, ogromnie zdenerwowana, do pokoju matki, komunikując straszną nowinę, że są okradzione. Zginęły klejnoty panny, srebra stołowe — pani Jellows rzuciła się gorączkowo do szufladki ze swemi klejnotami — lecz i tu gospodarowała już ręka złodzieja. Zawiadomiono policję. Jak zwykle, trzeba było długo i szeroko opowiadać, co, gdzie, jak, zapisano masę papieru kosztem prawie pół flaszki atramentu. Na pytanie jednak, jak otrzymać skradzione przedmioty, komisarz pokiwał głową ze współczuciem, oświadczając, że będzie to prawie niemożliwe, wobec niezwykłej przebiegłości opryszka.

Nie pomylił się istotnie. Mac Gates starannie ułożył plan, a zamknięta w szafie jego przyjaciółka, wyszedłszy nocą, brała wszystko, co drogie i łatwe do wzięcia.

W jakiś czas potem wyjechał do Europy. Celem podróży była Anglja. W Londynie ulokował się w hotelu Ritz i tu przygotowuje aferę z prawdziwie-fałszywym Murillem.

W owym czasie podniosła znacznie Ameryka cło na obrazy starych mistrzów. Dało to asumpt do szeregu oszustw, mających na celu ukrycie prawdziwej wartości obrazu, przedstawiając go jako małowartościowe dzieło. W tym celu posługiwano się specjalnym płynem, pokrycie którym ukrywało podpis autora. Po odbyciu kontroli bardzo łatwo było przywrócić poprzedni stan.

Oszustwo to jednak nie uszło uwagi celników. Zauważono bowiem, że zbyt wiele obrazów nosi jakieś podejrzane cechy w miejscu, gdzie winien być podpis. Wreszcie odkryto tajemnicę szmuglerzy. Sprawy te były szeroko komentowane w prasie i one to właśnie posłużyły Wiljamowi do ułożenia planu.

W parę dni po przybyciu do Londynu, odwiedził swego dawnego znajomego, właściciela starej rupieciarni. Śród tandety można było tu kupić niezły obraz, lub doskonałą, w całem tego słowa znaczeniu, kopję starego mistrza. Patrjarchalnym ruchem głaszcząc długą siwą brodę, oprowadzał kupiec gościa po sklepie. Najlepszą kopją na składzie była scena rodzajowa Murilla z okresu średniego jego twórczości. Ten wybitnie realistyczny obraz z życia ludu sewilskiego najbardziej przypadł Wiljamowi do gustu, t. zn. najbardziej odpowiadał jego planom. Po krótkich targach obraz znalazł się u niego w hotelu.

Zachowując miljon ostrożności podciągnął fałszywy podpis Murilla słodzeniem z sadzą. Na miejscu podpisu utworzyła się pleśń. Praca jego w Londynie została ukończona. Kupując bilet pierwszej klasy do New Yorku, zabrał ze sobą do kajuty swego Murilla. Rozpoczął się nudny okres oczekiwania na batalję, od powodzenia której zależały dalsze plany Mc. Gates'a. Tymczasem każdy obrót potężnej śruby olbrzyma transatlantyckiego zbliżał go do celu. Nadeszła godzina walki. Po przybiciu do portu udał się Wiljam wraz z obrazem do urzędu celnego. Widok pleśni w rogu obrazu nastroił celników nieufnie. Chytrze przybrana maska domorosłego „mądrali" pogłębiła ich podejrzenia, ujawniając tendencyjne obniżanie wartości przedmiotu.

Wreszcie jeden z urzędników, uśmiechając się z gryzącą ironją, rzekł:

„Szkoda, że obraz ma w rogu pleśń, mister, szkoda..."

Pasażer był przerażony.

„Co? jak? Nie rozumiem pana!"

„To, panie, obniża wartość obrazu. Zetrę ją, bo, widzi pan, mamy dosyć smutne doświadczenie z taką pleśnią..."

Mimo protestów, pleśń starto delikatnie i oczom zebranych ukazało się nazwisko wielkiego włoskiego malarza.

Sprawa stała się dosyć głośna. Gazety poczęły rozpisywać się na ten temat, niektóre podały fotografję obrazu. Tymczasem Mc. Gates zapłacił karę i cło — zabrał obraz, pojechał do hotelu i czekał na finał.

Ofiara zjawiła się z matematyczną ścisłością w osobie... amerykańskiego miljonera. Mister John W., chicagoski król świń, zapałał przemożną chęcią nabycia tak sensacyjnego dzieła sztuki. Ofiarował odrazu dużą sumę — Mc. Gates odpowiedział śmiechem.

„Dwa razy tyle" — krzyknął rozgorączkowany.

„I sto procent" — odrzekł Wiljam.

Bez namysłu miljoner wypisał czek.

Nie przyszło mu nawet do głowy sprawdzić autentyczność obrazu, urząd celny wystawił mu już znakomite świadectwo.

W jakiś czas potem, wydano w pałacu miljonera uroczyste przyjęcie z racji „oblania" Murilla. Tu wyszło szydło z worka. Policja jednak nie była w stanie złapać pana Uptona Black'a, który zginął gdzieś w świecie wraz z setką tysięcy dolarów „czystego" zysku.



Podczas, gdy w dolinach wiosna niepodzielnie króluje, na wysokich szczytach górskich strzelcy alpejscy ćwiczą wśród lodowców i gletczerów. Twarda to służba w pułku strzelców w Nizzy.

BEZ WODZA

(Dokończenie ze str. 395)

Po chwili wstał z trudem, i opierając się na karabinie, podszedł do trupa.

Zdradliwy Litwin leżał nieruchomy już i cichy, ogromny jakiś, niesamowity. Kudłata, duża głowa, z której rosyjską czapę zdarł wir niecnej walki, nurzała się we krwi, prawie nie wsiąkającej w gęsty piach. Kula przebiła lewe oko. Zwierzęca wściekłość zastygła na dobrodusznem za życia obliczu, jakiś krzyk zamarł na wieki w kurczowem rozszerzeniu siniejących ust.

Maurycy odwrócił się i poszedł, mrucząc coś cicho, i raz wraz wpatrując się w rzekę.

Coś się w nim znowu — tego dnia już po raz drugi — załamało. Przeminęło bez śladu uczucie radości, zrodzonej w chwili powzięcia zamiaru.

— ...Nie wrócę. Poco?! Patrzeć na klęskę, przeżyć ją może, może dostać się do niewoli i pójść na Sybir?! Albo w innym wypadku objąć kiedyś ojcowską spuściznę i kłaniać się moskiewskim urzędnikom?! I może kiedyś... ha! ha!... może kiedyś wnukom opowiadać, jak to było w czasie powstania?!

...Nie uda się?! No, to się nie uda, ale przynajmniej próba będzie, przynajmniej się stanie zadość honorowi!

Mgły rozproszyły się zupełnie, nastała piękna i jasna noc.

Co robić?! Jak przejść?!

...Nie wróci, nie. Jego prawo jest właśnie tu. Nie głosów zwierzchników, ale innych, ważniejszych, znać, głosów słuchali szaleńcy nocy listopadowej. Niemasz wodza! Człowiek mały, ub może wprost zdrajca podły rozkazy dziś wydaje! Samotnym jest naród, i samotnym jest żołnierz, i samotnym jest on! Jeśli zamiar mu się nie uda — tak — to będzie tylko młodzieńcze szaleństwo, za które zapłaci tylko on, — lecz jeśli się uda, to będzie jednak szalony czyn, który z wszelką pewnością innych szaleńców obudzi, i będzie szalonym ojcem może wielu, wielu czynów, które przecie na krwawej tej szali zaważą!

Uśmiechnął się. Ta myśl ostatnia go uspokoiła, ta myśl dodała mu nowych sił. Zmierzył linię ognisk nieprzyjacielskich dawnem swojem, zuchwałem spojrzeniem i żwawiej ruszył naprzód. Lecz rychło znowu musiał się zatrzymać. Najpierw zauważył, że ma przed sobą nowe, małe wzgórze, na którem stoi szyldwach, a następnie usłyszał gwar poza sobą. Skulił się, przywarł do ziemi i wytężył wzrok.

...Kozacy!... Raz, dwa, trzy... dziesięciu... Połowa zeszkoczyła z koni... Co oni tam robią?! Ach, znaleźli trupa! Krzyczą! Wskoczyli znów na konie, rozdzielili się, pędzą! Trzech tu... samym brzegiem!

Zwolnili biegu. Patrzą w ziemię. Co? Ślady? Może krew?!

Widzą, czy nie widzą?! Chyba widzą! Psiakrew! Jakże im dać rady?! Nawet gdyby tych trzech... przyjda inni!

Przykląkł. Z trudem opanowując straszliwe drżenie rąk, podniósł karabin, chwilę mierzył... trrrach! Pierwszy kozak runął natychmiast, wdaj inni w jednem mgnieniu zeskoczyli z koni. Zanim zdążył karabin swój na nowo przygotować do strzału, padły szybkie wystrzały kozackie.

Lewe ramię Maurycego opadło bezwładnie. Silną fontanną buchęła z niego krew, karabin upadł na ziemię.

Dobył szabli. Lecz słaniał się na nogach. Jak przez mgłę widział nadchodzących kozaków, jak przez grubą ścianę słyszał wrzaskliwe głosy. Lecz gdy podeszli tuż, gdy ujrzał poza niemi śpieszących konno innych, niezwyciężona furja ostatniej wściekłości przegnała precz wszelkie myśli. Skoczył pierwszy naprzód, wrzasnął jakieś dzikie słowo — uderzył błyszczącą szablą. Potem rozległ się huk nowego wystrzału. Raniony w pierś — potoczył się wtył. Spadły na jego głowę wściekłe ciosy kolb i zmasakrowały do cna piękne czoło.

— Jedziem, bratcy! Gotowo! — zawołał jeden z kozaków i ruszył koniem.

A na piachu stygł już nieruchomy trup. Z żywych marzeń młodzieńczych nie zostało nic...

Wśród książek

Zygmunt Kiesielewski—Doktór Paweł. — Warszawa, 1931.

W książce tej na uwagę zasługuje przedewszystkiem słowo od autora, w którem — jakże słusznie — ostro występuje przeciw współczesnej inteligencji, pozbawionej smaku i wyższych zainteresowań, hołdującej natomiast parwenjuszowskim, materjalistyczno - pozytywnym poglądom. Smutne znamię czasu, w którym mowa jest jeno o amerykanizacji i racjonalizacji, „zdumiewający paradoks psychologji pokolenia, które na własne oczy widziało cud zmartwychwstania ojczyzny". Nie szczędząc słów ostrej krytyki przeróżnym „przemysłowcom pióra", zrzeszonym w licznych „szkołach", autor ostrzega, iż czas najwyższy, aby literatura, której pierwszem ogniwem był Kochanowski, a ostatniem Żeromski, ocknęła się i zajęła pozycję, skąd jej nikt nie zepchnie, pozycję, opartą na wierze w absolutną wartość słowa i prawdę wewnętrzną pisarza.

Przejdźmy zkolei do samej powieści. Fabuła jest dość ograniczona. Bo ani liryka, ani pejzażowe ujęcie tematów i zdarzeń nie są specjalnością autora, którego jedynie interesują wewnętrzne przeżycia ludzi i walka o prawdę. Czyni to wnikliwie i niezmiernie trafnie, operując pewnie, niczem naukowiec, praktykujący w jakiem laboratorjum. Cechy te dawno poznaliśmy u Kisielewskiego—czy to z jego powieści, czy też z krótszych utworów, w których dał się poznać — jak słusznie to zaznacza K. Irzykowski w recenzji swej o „Błędzie" — jako idealista: „do takiego idealizmu trzeba się było dopracować i Kisielewski się dopracował".

W „Doktorze Pawle", śledzimy przeżycia naukowca, którego tragiczna śmierć ukochanej żony przyprawia niemal o utratę zmysłów i wpędza w ramiona zbawcy, przyjaciela, poświęconego jedynie idei, wzniosłej i czystej, natchnionej mistyczną wiarą w posłannictwo do spełnienia na ziemi. Doktór Paweł powoli odzyskuje zdrowie i innemi oczami zaczyna patrzeć na świat. „Żywiołowy stumień życia wdziera się i obala ustalone teorje" i skamieniałości. Pod wpływem metafizycznych rozmyślań, pragnie nagiąć nauki eksperymentalne do nakazów, płynących z życia kosmicznego. Wyrastają przed nim olbrzymie zadania, dla których ludzie nie mogą mieć jeszcze zrozumienia, gdyż wychodzą poza ramy codzienności. To też dalsze życie odrodzonego do pracy doktora Pawła musi płynąć w zupełnem oderwaniu od środowiska ludzkiego, jak wielkiego ofiarnika, „opłacającego samotnościa prawo do własnej prawdy".

Powieść Kisielewskiego nie jest dla wszystkich, co słusznie zaznaczył, poprzedzając ją słownem wstępnem. Ci jednak z czytelników, których nie zrazi w niej brak liryki, erotyzmu i t. p. efektów, przeczytają ją z prawdziwą wdzięcznością dla autora, iż nasunął im wiele tematów do rozmyślań.

WKRÓTCE UKAŻE SIĘ:

ADRIENNE THOMAS

CATHÉRINE ZOSTAJE ŻOŁNIERZEM

Przekład Zofji Petersowej

Głosy prasy przed ukazaniem się polskiego przekładu:

...Wiele osób, przeczytawszy książkę tę jednym tchem, zapytuje, czemu tę popularność przypisać? Bo właściwie jest to tylko przemiła książka, pisana lekko, prosto, jednakże tak pociągająca, że oderwać się od niej trudno. Lecz właśnie ta prostota, naturalność, szczerość wyrazu, ujęta w doskonałą formę literacką, ta bezpośredniość, z jaką autorka podaje czytelnikom swój oryginalny, nie skażony jednym fałszem literackim dzienniczek z czasów pierwszych lat wojny, pociąga i chwyta za serce każdego, kto książkę tylko przypadkowo, na chwilę wziął do ręki, lecz już po przeczytaniu paru stronnic, rozstać się z nią nie może, nie doczytawszy do końca...

„Kurjer Warszawski“ z dnia 24 lutego r. b.



WYDAWNICTWO ALFA • WARSZAWA

Skład Główny „MAD" Marszałkowska 99

„7 DNI“ WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE
Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200 ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca „PRASA ILUSTROWANA“ S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska“, Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.